

M. Benodyna Koterbianka

Wspomnienia



Ostrów Wielkopolski

1947

M. Benodyna Koterbianka

Wspomnienia



Ostrów Wielkopolski

1947

M. Benodyna Koterbianka

Wspomnienia



Ostrów Wielkopolski

1947

WSPOMNIENIA

Dom Starców w Ostrowie Wlkp. przy ul. Zdunowskiej nr. 8 zdawna pozostaje pod opieką Sióstr Elżbietanek. W chwili zajęcia Ostrowa przez armię niemiecką pracowały tu od kilku lat Siostra przełożona M. Benodyna Koterbianka z siostrami Febronią, Chryzogoną i Hubertą. To małe grono sióstr Elżbietanek, bardzo ruchliwe, szarmonizowane w pracy i poświęceniu dla bliźnich według idei i Reguły elżbietańskiej, było w chwili wkarczania wrogiej armii do miasta na miejscu. Siostry były przygotowane i zdecydowane podjąć trud i cierpienia, jakie z góry przewidziałam. Niemców znalazłam ze służby frontowej w pierwszej wojnie światowej 1914/18 i przewidywałam nasz los i niedolę narodu polskiego.

Już na kilka miesięcy przed wybuchem ostatniej wojny nie przeoczyłam

niczego. Byłam dobrze zorientowana w sytuacji politycznej pod koniec 1938 r., więc już wczesną wiosną 1939 r. gromadziłam zapasy żywności i opału na spodziewany ciężki okres wojny. Co przeczuwałam, przeszło też wszelkie moje oczekiwania. Znałam Niemców, ale nie znałam Niemców-hitlerowców, to też doznałyśmy głębokiego rozczarowania z faktów, które przeżyłyśmy.

Kiedy okupacja niemiecka stała się faktem dokonany, a stało się to już 1. 9. 1939 r., poddałyśmy się woli Bożej, ale i opiece Matki Najśw. i szczególnie Najśl. Sercu P. J. z żywą wiarą i ufnością w miłosierdzie i wszechmoc Boga. Zdwoiłyśmy modlitwy nasze i zdałyśmy się całkowicie na Opatrzność Boga. Z początkiem warunki ułożyły się w wyzwanie na wynik ofensywy niemieckiej na Polskę. Władze okupacyjne nie troszczyły i też nie interesowały się naszym domem. Nawet po ukończeniu sławnej bitwy w kotle kutnowskim i kapitulacji Warszawy władze okupacyjne

przez dalszy szereg miesięcy nie interesowały się naszym domem. Skoro fale uciekinierów zaczęły powracać do swych domów, dałyśmy schronienie (nocleg) prawie codziennie, b. wielu uchodźcom polskim z terenów zachodniej Polski, którzy uciekli przed armią wroga poza Wisłę i Bug. Z reguły otrzymywali oni pożywienie, a było ich czasem więcej, niż na to pozwalały nasze warunki i możliwości. Byli to ludzie ze wszystkich warstw społecznych. Już 1. 10. 1939 r. powrócił z frontu we wspomnianym już kotle kutnowskim dobrze nam znany urzędnik, którego rodzina powróciła z ucieczki pod koniec października. Tegoż urzędnika, wymizerowanego i schorzałego, otoczyłyśmy potrzebną opieką i po pewnym czasie z zadowoleniem patrzyłyśmy na niego, jak przyszedł do poprzedniego stanu zdrowia i formy. Później jego rodzinę, razem 3 dorosłe osoby i jedno 5-letnie dziecko, utrzymywałyśmy całkowicie z małymi przerwami do końca października 1940 r. Już z począt-

kiem listopada 1939 r. Gestapo poszukiwało owego urzędnika. Musiał się ukrywać, więc przechowałyśmy go w jednym osobnym z pokoiów naszego domu. Później trzeba było dać schronienie również jego rodzinie, gdyż mieszkanie jego zostało zlikwidowane i zajął je Niemiec. Dało to powód jednemu ze starców naszych, człowiekowi złośliwemu i gderze, zawsze niezadowolonemu, do podejrzeń w skutkach bardzo niebezpiecznych, mianowicie, odgrażał się mnie i siostrze, że ukrywamy polskiego starostę. Robił to całkiem oficjalnie. Jednocześnie z wyżej wspomnianą rodziną w innych pokojach ukrywałyśmy stale 2-ech księży i kolegę owego urzędnika, oraz nauczycielkę, która pozostała w naszym domu przez cztery lata! To wszystko działo się przecież na oczach wszystkich starców i kalek, boć trudno ukryć tyle osób przed oczyma tylu ludzi i w tak długim czasie. Miałyśmy po prostu nadzieję przeciwko nadziei, że dobrej sprawie naszej Bóg będzie błogosławił. W owym czasie, gdy

w mieście odbywały się t. zw. „łapanki“, o których wtajemniczeni ludzie dowiedzieli się naprzód, — chronili się do naszego domu, często na cały dzień, inni księża i osoby cywilne. Fale uchodźców ustąpiły, ale inne, cięższe próby nastawały jedna po drugiej, a my borykałyśmy się i wierzyły, że się z nimi uporamy. Trzeba było w tych warunkach wszystkie te osoby z naszej kuchni, dotąd przez władze okupacyjne nie zasilane, utrzymać. Zapasy niknęły, ale i dobrzy ludzie wspomagali, jak kto mógł. Jeszcze późną jesienią 1939 roku władze okupacyjne stwierdziły stan liczebny i narodowościowy starców i kalek, przede wszystkim narodowość sióstr, porządek i zlustrowały nasz dom, a więc i naszą ukochaną kaplicę. Kaplicy jednak nie zlikwidowali, ale zakazali odprawiania nabożeństw publicznych. W tym czasie, poza wyżej wyliczonymi osobami, było ponad 50 starców i kalek. Przez zgorą 8 miesięcy nie otrzymaliśmy od władz okupacyjnych zgola nic, a więc ani żywności,

ani opał. Nie można też było czynić wydatków na rachunek władz miejskich, gdyż w tym względzie niczego nie ustalono, ani powiedziano. Zapasy przedwojenne wyczerpały się prawie zupełnie. Z trwogą patrzyłam w czarną przyszłość i jak długo jeszcze wypadnie tak walczyć. Ale nie upadałam na duchu. Ufałam Najśl. Sercu P. J. i Ono mnie nie zawiodło. Wiadomości ze świata były coraz gorsze. Nie było widoków na lepsze i żadnej nadziei na rychły koniec. Wierzyliśmy wszyscy w zwycięstwo Francji. Prawie każdy z naszych „ukrytych“, będąc ukradkiem w mieście, wracał z zapasem wiadomości dobrych i złych, pocieszających i trwożliwych. Już z początkiem listopada 1939 r. niepewność losu wielu obywateli z Ostrowa, a także setek tysięcy Polaków z całej Polski, tych wszystkich uwieczonych, okrutnie zamęczonych, niewinnych, zwłaszcza inteligencji i duchowieństwa, krwaawiła nam serca i spędzała sen z oczu. Pocieszały nas cprawda różne fanta-

styczne proroctwa, podtrzymywały na duchu zagrożone karą śmierci audycje zagranicznych stacyj radiowych, których słuchali nasi „ukryci“, lub osoby zaufane i nam życzliwe, ale ustawicznie nękała nas złowroga myśl i wciąż aktualna obawa, że dzisiejszej nocy, czy jutro w biały dzień przyjdzie Gestapo i z grona naszego wyrwie tego czy innego rodaka. Ofiary, jakie składał naród polski na rzecz molocha wojny, jak nie dawały powodu do nadziei w lepsze jutro z jednej, — tak utwierdzały nas w tym większej ufności i silniejszej wierze, że Bóg jest Panem świata i sprawiedliwości Jego musi się stać zadość — z drugiej strony. Tej głębokiej wiary i ufności nie zalała w nas nawet owa hiobowa wiadomość o upadku Francji. Niemcy szaleli z radości, myśmy modlili się o sprawiedliwy dzień kary i upokorzenia dla wroga. Intencje nasze modlitewne były rozliczne, a miały ten jedyny cel: przebłagać zagniewanego Boga i uprosić miłosierdzie Jego. Cokolwiek złego nas do-

tknęło, przyjmowałyśmy z poddaniem się woli Bożej i z wiarą, że to ostatni cios, że skończy się niebawem udręka, że ustanie ucisk, że Niemcy „nie zdążą” wszystkiego, co planują, dokonać. Ale do końca było wtedy jeszcze daleko.

Trzeba by poświęcić osobny rozdział naszym zabiegom i usilnym staraniom, aby w kaplicy naszej mieć „Sanctissimum”, wysłuchać Mszy św., przyjąć Komunię św., gdyż jedyny kościół parafialny od listopada 1939 r. był dla katolików = Polaków zamknięty, nabożeństw żadnych nie było. W mieście i okolicy ukrywali się wtedy jeszcze, nieliczni już co prawda, księża katoliccy, więc uprosiliśmy ich, aby choć dorywczo, oczywiście w tajemnicy przed innymi, zechcieli odprawić w naszej kaplicy Mszę św. itp. Pomimo, że w naszym domu ukrywali się dwaj księża, również inni księża katoliccy często u nas Mszę św. odprawiali. Tym sposobem miałyśmy często 3—5 Mszy św. dziennie. Księża przychodzili dnia poprzedniego późnym

wieczorem do naszego domu, aby **nazajutrz wczesnym rankiem Mszę św.** odprawić. Miałyśmy więc prawie stale Msze św. i Komunię św., odprawiałyśmy spowiedź, rekolekcje i inne przepisane św. Regułą ćwiczenia duchowne. Dotąd wszystko działo się w tajemnicy przed okupantem i starcami.

W październiku 1940 r. ów urzędnik z rodziną przeniósł się do b. Gen. Gubernatorstwa. Wkrótce potem jeden z księży podążył tam także. Pozostał jeden ksiądz, nauczycielka i kolega owego urzędnika. Już w maju 1940 r. władze okupacyjne przejęły ciężar utrzymania przytułku na siebie, pozostawiając skład osobowy sióstr bez zmiany.

Później musiałyśmy zdjąć habit zakonny i urzędować w ubraniu cywilnym. Był to cios dotkliwy. Do tego doszły zwiększone i ścisłe kontrole, sprawozdania uciążliwe i drobnostkowe, wizytacje, obserwacje i męczące rozmowy z różnymi dygnitarzami niemieckimi, częste aż nadto projekty likwidacji i przenie-

sienia nas, — butne i opryskliwe traktowanie. To wszystko szarpało nerwy i wyczerpywało do ostateczności. Bo też okrutni Niemcy nie dali spędzić dnia spokojnie i trzymali nas w stałej niepewności, pogroźkami likwidacji polskich sióstr po prostu terroryzowali nas. Jak oni potrafili likwidować polskie siostry zakonne w przytułkach i szpitalach — znaliśmy to bardzo dobrze. Kto nie przeżył tych czasów z hitlerowcami w takiej roli i sytuacji, nie pojmie nigdy należycie rzeczywistej prawdy. Była to systematyczna moralna udreka, która targała nerwy i rujnowała zdrowie. Aleśmy się nie poddawały bezduszności i pozornej beznadziejności. Wypadki bieżące wpływały pocieszająco na nasz los. Wojna z Jugosławią, Grecją, a wreszcie z Rosją, na co czekał cały świat, dokonały pewnych zmian, nie zdołały jednak powstrzymać Niemców od szykan i moralnego terroru. Raczej pomnożyli i zaostrzyli je. Czuliśmy, że jesteśmy zbyt bezbronne, dano nam do zrozumienia, że nie-

nawidzą nas. Dzięki znajomości języka niemieckiego i psychiki niemieckiej wogóle, — łagodziłam zapalczywość niektórych „Amtsleiterów“ i w przeróżny sposób udawało mi się ułagodzić owych „tygrysów“. Najkrytyczniejsze chwile dzięki usilnej modlitwie przezwyciężyłam i zdołałam wraz z siostrami na zajmowanej placówce się utrzymać. Taki tryb życia trwał do pamiętnego „Popielca“ dnia 23 lutego 1944 r.

W dniu tym na skutek zdrady, najprawdopodobniej wspomnianego już wyczej starca, wpadło do naszego domu, tuż po skończonej Mszy św. sześciu gestapowców z psem policyjnym. Dodać muszę, że w owym dniu popielcowym przyjął ostatnią Komunię św. z Nowenny na przebłaganie P. J. za tak wielkie zło, popełniane w karnawale. Nowennę tą odprawiałam sama i przypadkiem zupełnie ukończyłam właśnie w „Popielec“. Zaledwie skończyłam „dziękczynienie“, zjawili się wspomniani już gestapowcy. Zarzucili mi, że ukrywam jednego męż-

czynną. Istotnie ukrywałyśmy od z góry 2 lat jednego księdza proboszcza z okolicy, który był naszym cichym kapłanem. W tym też czasie była w domu obecną w jednym z pokoiów owa od 4-ech lat ukrywająca się u nas nauczycielka, siostrzenica moja, która wyjechawszy, powróciła dnia poprzedniego. Po szczegółowym zbadaniu domu zabrano „nadliczbowych“ (nie meldowanych), a więc owego księdza, nauczycielkę i mnie. Przesłuchiwanie w Gestapo trwało tegoż dnia od godz. 8-ej do 16-ej i było, jak w stosunku do siostry zakonnej — brutalne. Po przesłuchaniu odprowadzono mnie z siostrzenicą do więzienia na oddział kobiecy, gdzie przebyłam 6 tygodni w okropnych warunkach higienicznych, a więc w pluskwach, wszach, traktowana przez „Aufseherki“ bardzo źle. Z więzienia w Ostrowie w Wielki Czwartek 1944 r. przewieziono nas do więzienia w Kaliszu. Tu pewien Oberaufseher z „Reichu“, którego córka również była zakonnicą, był dla mnie bardzo

przychylny. Również inne kobiety cieszyły się jego względami i pobłażaniem. Z jego poręki wszystkie „Afseherki“ były dla nas przychylnie ustosunkowane. Warunki higieniczne w Kaliszu były znośniejsze. W 3 święto wielkanocne 1944 roku zostałam przesłuchana przez Gestapo z Ostrowa, które do Kalisza przyjechało. Przesłuchanie odbyło się w okrutny, najordynarniejszy sposób, wśród gróźb i wyzwisk. Muszę jednak podkreślić, że dotąd nikt mnie nie uderzył, wbrew temu, co mówiono o przesłuchującym mnie gestapowcu Knakowskim, który w stosunku do mnie zachował się właściwie.

Po 5-tygodniowym pobycie w Kaliszu, przewieziono nas do Łodzi. Tu dopiero zaczęła się udreka i prawdziwa gehenna. W przepelnionej dużej sali spaliśmy dosłownie na gołej podłodze we wszach, pluskwach, bez przykrycia w ohydnych warunkach i jeszcze gorszym otoczeniu. Szczęśliwa była ta, która miała płaszcz.

Ale to wszystko było męką i nic nie przynosiło ulgi ni pocieszenia.

Po 4 tygodniach takiej udręki zabrano nas do przygotowanego dla dużej grupy Polaków transportu kolejowego do Niemiec, konwojowanego przez bardzo silną eskortę Gestapò, jak pospolitych zbrodniarzy. Po całotygodniowej, męczącej podróży w lecie, w strasznych warunkach higienicznych, a jeszcze gorszych warunkach moralno=etycznych, pociąg nasz doszedł do znanego całemu światu obozu kobiecego w Ravensbrück. Tu w Ravensbrück spędzono nas do jednej z sal, która mogła pomieścić 400 osób, a wpędzono do niej z górą 1.500—1.700 osób. Co za tłok! Jakież okropne warunki higieniczne i moralno=etyczne! Wystarczy wspomnieć, że prowizoryczne ustępy na sali dla tylu osób stwarzały atmosferę nie dającą się wyrazić słowami. Język nie zna właściwych wyrażen tych okropności. Łatwiej malarzowi oddać wierny obraz osoby lub krajobrazu, niż człowiekowi wypowiedzieć

trafnie całokształt stosunków i warunków życia obozowego w Ravensbrück. Zdawało się nam, że tu kres naszego życia, że nadeszła decydująca chwila. Tu właśnie w Ravensbrück doświadczyłam najpotworniejszych wyczynów ludzi=bestyj, poznałam z bliska i odczułam na własnej skórze skutki zdziczałych charakterów hyen i szakali w ludzkiej postaci, owych wykolejeńców niemieckiej rasy, kobiety lekkich obyczajów najgorszego gatunku, które w roli „Aufseherek“ nadawały ton życiu obozowemu. Okrucieństwa i barbarzyństwa takich typów kobiecych nie dają wyrazić się słowami, nie godzi się nawet usiłować wyrazić ich wyczynów ludzkim językiem. Trudno sobie wyobrazić coś gorszego nad to, czego doświadczyliśmy w obozie kobiecym w Ravensbrück. Wypada choćby w telegraficznym skrócie podać codzienny porządek życia obozowego w Ravensbrück.

Po przyjęciu i przebyciu 5=tygodniowej t. zw. kwarantanny wręczono mi

czerwoną kartę, oznaczającą śmierć. Jakie uczucia targają jestestwem człowieka, któremu nadano zamiast dotychczasowego imienia i nazwiska — numer, to trudno wyrazić słowami. Trzeba to przeżyć. Więc, gdy otrzymałam numer, a potem ową kartę czerwoną, pogodziłam się z wolą Bożą, że to koniec mego żywota bliski. Przecież zdążamy do Boga, a właśnie śmierć jest furką do nieba, do Boga. Innych mogli straszyć śmiercią, mnie wizja śmierci bliskiej była pokrzepieniem, bom zaufała Boskiemu Sercu P. J. i nikt i nic nie było w stanie złamać we mnie wiarę w bliskie wyzwolenie z piekielnych udręczeń życia obozowego, a zobaczenia twarzą w twarz ukochanego Mistrza i Zbawiciela Jezusa Chrystusa! W Ravensbrück sam Dante mógł czerpać natchnienie! To, co on stworzył, dziś musiałoby być uzupełnione tym, co stworzyli Niemcy-hitlerowcy w obozach! Do takich należał w równym stopniu obóz kobiecy w Ravensbrück.

W porze letniej wstanie z łóżek wyznaczone było na równi ze wschodem słońca, w zimie o godz. 4.30. Trzeba było bardzo szybko się ubierać. Bezpośrednio po ubraniu się trzeba było stanąć na placu apelowym. Apel trwał z reguły kilka godzin bez względu na deszcz, słotę, zimno, błoto itd. Im większa niepogoda, tym dłuższe wyczekiwanie końca apelu. Na apelu trzeba było stać dziesiątkami z rękoma opuszczonymi w dół, bez ruchu, a najmniejsze wykroczenia przeciwko tym regułom dały powód do wyzwisk najohydniejszych od „Aufseherrek“ i policjantek. Po apelu szybko do pracy. Obiad krótko, wielu nie zdążyło się najeść, to znaczy zjeść tego, co podano, i znów do pracy. Obiad z reguły stanowiła strawa obrzydliwa, która na nazwę „strawy“ nie zasługiwała. Wywoływała bowiem torsje. Po obiedzie znów szybko do apelu, potem znów szybko do pracy do godz. 18-ej. Dręczący apel! Ustawiczne biegi! Stały pośpiech! To największe zło, jakie w życiu obozowym

trzeba było przeżywać. Na apel stanąć musieli wszyscy obecni w obozie, nawet konający, którzy z apelu wracali umarłymi na rękach współtowarzyszek niedoli. I znowu straszna noc, która zamiast dać wypoczynek, była jedną udręką. Na jednym łóżku musiały leżeć, raczej siedzieć 3 i więcej osoby. Noce straszne, w zaduchu, niespokojne, trwożliwe. Tak było dzień w dzień i noc w noc.

Najgorsza udreka rozpoczęła się jednakże dopiero od dnia 26. 2. 1945 r. do dnia 24. 4. 1945 r. do chwili transportu do Szwecji.

W tym to czasie ciągle gonitwy do pracy w najhaniebniejszy sposób. W Wielki Czwartek i Piątek 1945 r. rąbałam drzewo. Po świętach chodziłam na zalane wodą łąki rozrzucać ziemię z wykopanych dla odwodnienia łąk — rowów. Stałam zawsze po kostki w zimnej wodzie. Przy tej pracy słabsze osoby mdlały i upadały co chwilę, ale musiały pracować dalej, lub ginęły śmiercią na miejscu. Na apelu po pracy wszyscy,

a więc żywi i umarli przy pracy, — musieli stanąć, inaczej poszukiwano zaginionych. Trzeba więc było od pracy owych umarłych nosić z powrotem do obozu, aby na apelu byli wszyscy. Kto wyszedł do pracy żywy, mógł wrócić umarłym, ale wrócić musiał!

Czterokrotnie byłam przeznaczona i wyprowadzona na śmierć. Nie wiem sama, jak to było możliwe, że zawsze udało mi się uciec w ostatnim momencie przed odprowadzeniem, mimo ścisłej kontroli „Aufseheren“ i usłużnych policjantek. Na każdym kroku czuwało Najśl. Serce P. J., któremu tak bardzo, bezgranicznie zaufałam. Byłam przecież przygotowana na śmierć, nawet śmierci tej pragnęłam, a jednak w chwilach decydujących inna siła powodowała, że we właściwym momencie wystąpiłam z szeregu, lub stałam się wśród innych niewidoczną, i tak uniknęłam egzekucji. Takie chwile szarpały nerwy w strzępy. Pewnego dnia uczułam, że najdalej tydzień wytrzymam. Wszedłszy z pracy do blo-

ku, mówiła mi pode mną leżąca więźniarka-lekarka: siostró, już się skończyły apele, bo w przyległym bloku stwierdzono 6 wypadków tyfusu. Nie wiedziała ona, że sama mówi w gorączce tyfusowej, a obok mnie było już 7 osób chorych na tyfus. Mnie jednakże dziwnym zrządzeniem Opatrzności choroba tyfusu nie chwyciła. Apele się skończyły, ale tej samej nocy spadłam z łóżka i złamałam 2 żebra. Przywołana więźniarka-lekarka nie mogła stwierdzić co się stało, a roentgenować nie było można, gdyż wszystkie aparaty lekarskie były spakowane. Leżałam w strasznym bólu, zupełnie nieruchoma, trzeba było mnie podnosić, a pomocną była mi pewna b. dobra pani-więźniarka. Dnia 24. 4. 1945 r. po południu w całym obozie wołano głośno, aby wszystkie polki wyszły. Na placu apelowym, jak się okazało, zdjęto nam numery! Boże! Boże! Jakież to było nadzwyczajne, jakie wstrząsające jestestwem każdego człowieka owe zdjęcie, odebranie numeru! Jestem bez

numeru, mam znów swoje imię i nazwisko prawdziwe po rodzicach! Jestem człowiekiem wolnym, bez numeru!! Taki wstrząs psychiczny odbił się na wielu pogorszeniem lub polepszeniem zdrowia. Różnie działał na ludzi, mnie dodał tym większej odwagi i nadziei w oswobodzenie, wolność! Nie powiedziano nam gdzie i dokąd pójdziemy. Mówiono, że pojedziemy do Malhofu, które położone było 80 klm. od Ravensbrück. Tam oczywiście tylko na stracenie wywożono żywych z Ravensbrück. Następnego dnia (w dzień św. Marka) załadowano nas do bydłęcych wagonów po 80—85 osób. Przepelnienie było straszne, nie było można szpilki wtłoczyć między nas. A ja ze złamanymi żebrami w takim tłoku! Było to i dla mnie i dla otoczenia tym uciążliwsze. Pociąg, przyjechawszy do Malhofu, nie stanął, to też spostrzegłam, że niebezpieczeństwo życiu naszemu nie zagraża. Miałam bowiem zamiar uciec w Malhofie i pójść pod front rosyjski. Po 6-dniowej podróży dostałam się

z 4.200 osobami do granicy duńskiej. Dopiero w Lubece (Lübeck) dowiedzialiśmy się od Szwedów, że przewożą nas na pielęgnowanie do ich kraju, do Szwecji. Konwojował nas z jedynym w tym transporcie SS-manem, księżę Bernadotte, prezes Czerwonego Krzyża z Sztokholmu. Za ledwie pociąg stanął na granicy duńskiej, otworzono drzwi wszystkich wagonów i Boże — co za kontrast! Przy każdym wagonie stanął kapłan katolicki w stule i rozgrzeszał wszystkich w każdym wagonie. Przed chwilą w przepelnionych ludźmi wagonach słyszano złorzeczenia, przekleństwa, a w chwilę później podniosła chwila religijnego namaszczenia — absolucja generalna! Serce przepelnione wdzięcznością dla Boga waliło młotem, kłuło, ale uniesienie radosne, dziękczynne za wyswobodzenie z piekła obozowego nie miało granic. Kto takie chwile nie przeżywał, nie odczuje głębokości i szerokości uczucia, jakie w człowieku wezbrały na kształt wzburzonego morza. Po obfitym nakar-

mieniu zabrano połowę z transportu i przewieziono pociągiem do portu. Ponieważ połamałam żebra, wypchnięto mnie wszędzie i musiałam pozostać do następnego pociągu, którym dowieziono nas również do portu. W towarzystwie mew płynęliśmy na okręcie szwedzkim, to znowu jechałyśmy pociągiem, wreszcie 1. 5. 1945 r. o 19-ej wylądowałyśmy w Malmö. Tu wieczorem nakarmiono nas obficie, po czym częściowo przewieziono do łazienek. Jako ostatni transport dostałam się do łaźni dopiero o 4-ej rano. Litowano się nad naszym marnym wyglądem, mówiono głośno, że przywieziono trupy nie ludzi żywych, przyjmowano wszędzie entuzjastycznie. Umieszczono nas w przygotowanych budynkach. Z 200 osobami zostałam umieszczona w jednej szkole. Wszystkie byłyśmy chore, ale mnie, jako uległej wypadkowi, lekarz zbadał natychmiast i orzekł złamanie 2 żeber. Dnia 3. 5. 1945 r. przewieziono wszystkie celem odpowiedniego ubrania i prześwietlenia roentgenow-

skiego. Dnia następnego (4. 5. 45 r.) przewieziono dla wypoczynku do cudnej okolicy do Doverstorpu, gdzie było tak pięknie, że coś podobnego przedstawiałam sobie tylko w bajce. Byłyśmy 5 tygodni na t. zw. kwarantannie. W tym czasie Matka prowincjonalna naszych siostr Elżbietanek w Szwecji ubiegała się u władz, aby w czasie naszego pobytu w Szwecji przydzielono nas trzy siostry zakonne do klasztoru. Wtedy też doszła mnie wiadomość, nader miła i przejmująca, że ów ksiądz proboszcz, nasz cichy kapelan ostrowski, żyje i znajduje się w Szwecji. Wiadomość ta pokrzepiła mnie mocno, a serce tym ufniej i tym goręcej modliło się i dziękowało jednemu Zbawcy za nadmiar błogosławieństwa i miłosierdzia. Starania Matki Prowincjalki, mimo trudności z powodu przedłużenia kwarantanny, uwieńczono zostały pomyślnym wynikiem. W przeddzień święta Serca P. J., dnia 7. 6. 1945 r., Matka Prowincjonalna osobiście zjawiała

się po nas i odwiozła do swego klasztoru.

I znowu podziwiać trzeba, jak Boskie Serce sprawiło radość swej czcicielce, że po długim czasie takiej udręki mogła w dniu, poświęconym specjalnie czci Boskiego Serca, odprawić spowiedź i przyjąć do swego serca Pana i Zbawiciela swego z Jego Najśw. Sercem, któremu bezgranicznie zaufałam. Ten widomy znak opieki Boskiego Serca nade mną, utknał mi szczególnie w pamięci. Nie trudno wyobrazić sobie, jakie uczucia wezbrały w moim sercu. Nie uroniłam dotąd ani jednej łzy, ale wtedy z nadmiaru radości i wdzięczności, z faktu tak szczególnej opieki Boskiego Serca nade mną w takich okolicznościach, serce moje nie wytrzymało naporu uczuć i przez cały kwadrans łzy radości i szczęścia spływały, a serce w uniesieniu i uwielbieniu lkało, całym swoim jestwem byłam sam na sam w modlitewnym skupieniu i rozmowie ze Zbawcą i Bogiem moim. Były to moje pierwsze

i ostatnie lzy. Złość ludzka nie była zdolna mi ich wycisnąć, ale miłość i dobroć boża, radość i wdzięczność za wyzwolenie z owego piekła obozowego sprawiły, że w nadmiarze uczuć serdecznych i w podziwie dla niezbadanych wyroków boskich, tak niesłychanie beznadziejnych, a jednak rzeczywistych i sprawiedliwych — płakałam. W 2 dni później wzięłyśmy udział w rekolekcjach. Jakżeż cudownie wśród lata było przejść z owej, jeśli się tak godzi powiedzieć — Golgoty na Tabor. Istotnie było nam tam bardzo dobrze. Prawdziwa góra Tabor! Tu się człowiek uspokoił nieco, tu nabrał otuchy do nowej walki, tu porzepił ducha. Po rekolekcjach zabrała mnie Matka Prowincjonalna wraz z siostrami do własnej willi, położonej 7 stacyj za Sztokholmem na wsi, gdzie pielęgnowano nas, jak małe dzieci w kołysce. Wracałyśmy szybko do dawnej wagi i równowagi duchowej. Tak trwało przez 6 miesięcy. Pewnego dnia proszono mnie, abym pojechała do Malmö na stację

plucno-chorych, aby rozmawiać z chorymi po polsku. Do chwili zlikwidowania tej stacji byłam tam pomocną. Trwało to 4 tygodnie. Chorych z tej stacji przewieziono do sanatorium, a ja mogłam pomyśleć o powrocie do ojczyzny. Mimo nadzwyczajnej pielęgnacji u naszych siostr, tęsknota za ojczyzną wypałała serce. Tam właśnie przekonałam się, że nikt tak nie kocha swej ojczyzny, jak dobry Polak i dobra Polka. Usłudźni Szwedzi dopomogli mi, że w 2 dniach mogłam wsiadać na okręt. Okręt do Gdyni — Boże! O tym nie śmiałam myśleć. Wraz z 6 osobami umieszczono mnie w jednej kajucie na okręcie, a ponieważ Szwedzi bardzo cenią siostry elżbietanki, więc zaledwie ruszyliśmy z portu, wzięto mnie do osobnej kajuty, gdzie miałam bardzo wygodnie. Na okręcie otrzymaliśmy 3 razy dziennie ciepłą potrawę. Wiele osób zachorowało na morską chorobę, nawet najsilniejsi mężczyźni. Mnie także choroba ta „chwyciła“, ale w 3 godziny przed wylądowaniem. Okręt za-

winał do Gdyni po 28 godzinach podróży. Mój bagaż bez mojej wiedzy wynieśli dwaj lekarze szwedzcy. Dołączono do niego dyskretnie 10 klg. paczkę żywnościową. Owi lekarze czekali na moje wyjście przy moim bagażu. Tą nadzwyczajną grzeczność lekarzy, jak i kapitana okrętowego dla mnie siostry elżbietanki, polki, specjalnie tu podkreślam.

W Gdyni nastąpiło rejestrowanie i 3. 12. 1945 r. wyjechałam pociągiem do Ostrowa. W Ostrowie stanęłam 4. 12. 1945 r. o godz. 10 rano. Bagaż pozostawiłam pod opieką zaufanej osoby, a sama udałam się do mego domu. Tu spotkała mnie niespodziewana radość sióstr i tych wszystkich życzliwych, których serca zdobyłam. Trzy dziękczynne nabożeństwa, a więc Msze św. itd., powódź kwiatów i bardzo serdeczne przemówienie księdza proboszcza, dziekana parafii ostrowskiej w przepelnionej kaplicy, zakończyły moją wędrówkę po więzieniach i obozach, owych kaźniach Niemców hitlerowskich.

Odpężenie nerwowe nastąpiło dopiero w 3 tygodnie po powrocie. Z wiodoczej woli Bożej w drugie święto Bożego Narodzenia 1945 r. zламаłam znowu kilka żeber. Na skutek tego wypadku przeleżałam w łóżku 6 tygodni. Obecnie czuję się lepiej, ale nerwy skutkiem przeżyć w kaźniach hitlerowskich pozostały prawie w strzępach. Najbujniejsza fantazja nie odda wiernie tego, cośmy przeżywały w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Te 8 osób, które my siostry ukryły, zachowały się przy życiu i obecnie prowadzi im się b. dobrze. To jest naszym największym zadowoleniem. Praca nasza i ryzyko nie poszły na marne. Idea i cel, jakie nam przyświecały — osiągnęłyśmy. Mimo tak okrutnych metod i ustawicznego lęku na oczach hitlerowców pełniłyśmy swe obowiązki sióstr elżbietanek i polek. Walczyłyśmy o dobro duchowe i materialne rodaków, pracowałyśmy dla chwały Bożej w nas i tych, których los straszny nawiedził. Zawierucha wojny

minęła, a my pozostałyśmy na posterunku. Szalał wróg, ale z woli Bożej tam tylko uczynił spustoszenie, gdzie ma nastąpić odrodzenie. W nas pali się serce w miłości dla Boga i Ojczyzny. Wszystko, cokolwiek doświadczyłyśmy, składamy Bogu we wdzięcznej ofierze z wiarą, że On jest Panem świata i że Sprawiedliwość Jego trwa na wieki wieków.

W tej myśli wołamy:

Deo Gratias!

Ostrów Wlkp. w marcu 1946 r.

Wzrost i Ciężar

Wzrost ...
Ciężar ...

Dobranie

Drukarnia Chorzów - Batory
ul. Kościelna 4
pod Zarządem Państwowym
